

Bruno Kadyna

Tu nas nie dosięgnie

Obóz różnił się od tego, który zawsze rozbijali. Zamaskowany namiot między drzewami stał się praktycznie niewidoczny. Ognisko zamiast na plaży, płonęło w lesie za namiotem, inne od zwyczajnego, typu Dakota, w dziurze, z dolotem powietrza, żeby nie było widać dymu z daleka. Lepsze spalanie ograniczało dymienie.

Mięso już się piekło.

– Nici z siedzenia wieczorem przy ognisku, trzeba zgasić po zmroku – powiedział do siebie Przemek.

Mimo że zrobił zadaszenie, żeby nie było widać ognia z góry, wolał zachować maksymalną ostrożność.

Zmęczony stanął nad brzegiem. Na wodzie nie było nawet jednej zmarszczki.

– Ale spokój. – Poczuł zazdrość, bo jemu wewnątrz bardzo brakowało spokoju.

Słońce, dalekie od ziemskich spraw, zniżało się do horyzontu, za którym leżało miasto. Przemek czuł się, jakby zostawił tam część siebie. Myślał o rodzicach, których nie dał rady namówić do wyjazdu, szczególnie, że mieliby się śpieszyć. Powiedzieli, żeby się puknął w czoło. Nie będą spali w żadnym namiocie. Nie ma znaczenia, co się wydarzy, zostaną we własnym domu do końca.

Usłyszał za sobą chrzęszczenie piachu. Córeczka nie potrafiła się jeszcze skradać.

– Łaaa! – wrzasnęła.

– Ciiicho.

Raczej nikt ich tu nie słyszał, ale lepiej nie hałasować. Tylko weź wytłumacz małemu dziecku, żeby zapamiętało.

– Uf, ale mnie wystraszyłaś, Pchełko.

Mała objęła ojca w pasie.

– Kocham cię, tatusiu.

Kucnął.

– A ja ciebie, córeczko. Bardzo mocno.

Uścisnął dziewczynkę, martwiąc się o nią jak nigdy wcześniej. Bardziej nawet niż wtedy, gdy poważnie zachorowała i nie wiadomo było, jak to się skończy.

– Motylek! – Poleciała za nim.

Wyczuwała niepokój rodziców, ale nie na tyle mocno, żeby nie być sobą. Biegała i interesowała się wszystkim, jak zawsze, kiedy tu przyjeżdżali.

– To pewne. – Przemek zmrużył oczy patrząc na horyzont. – Koniec życia jakie znamy.

Zastanawiał się, jakie nastanie. Takie, jak po trzydziestym dziewiątym? Gorsze? Lżejsze? Przeczuwał, że gorsze.

Bał się Ruskich, ich mentalności i rozkazów, jakie dostali.

Podeszła Marta i przyłgnęła do niego.

– Jesteś pewien, że tu nie przyjdą? – zapytała po raz tysięczny.

Słyszała, że mówił do siebie. Zawsze tak robił, kiedy się stresował.

– Interesują ich miasta, wsie najwyżej, a nie dzikie miejsca.

To tylko teoria, ale wydawała się logiczna.

Kula ognia nabrała czerwieni i rozpałała niebo, czyniąc chmury piękniejszymi. Było o wiele ciszej niż zazwyczaj, gdy przyjeżdżali tu wypoczywać. Przestrzeń nie niosła odgłosów silników łodzi ani samochodów z drogi. Nie było widać żadnych żaglówek. Życie zamarło. I to byłoby fajne, gdyby tuż za horyzontem nie działało się tak źle.

Włączył komórkę. Sieć jeszcze działała. Wiedział, że przestanie, dlatego w plecaku miał małe radio i zapas baterii. Możliwe, że tylko tak będą mogli się czegoś dowiedzieć.

– Co z naszym domem? – zapytała kobieta. – A jak wejdą i rozkradną?

– Mam nadzieję, że nic się nie stanie. – Wiedział, że raczej się stanie. To kwestia czasu.

Wszedł na Facebooka i zaraz z niego wyszedł, bo media społecznościowe stały się ściekiem paniki społeczeństwa. Szkoda na nie baterii.

Kiedy chciał wejść na którąś z platform informacyjnych, kreski zasięgu sieci zniknęły.

– Kurczę, już? I tak pewnie niewiele się zmieniło. – Sprawdzał informacje pół godziny temu.

Wyłączył telefon, żeby oszczędzać prąd.

– Mam nadzieję, że mamy wszystko – Marta gadała do siebie.

– Mamy wszystko, czego nam trzeba, nie martw się. Chodźmy jeść.

Przemek był w garażu, pakował rzeczy na biwak, kiedy odpalono alerty RCB i syreny alarmowe. W rogu leżał przygotowany od dawna plecak ewakuacyjny z najpotrzebniejszymi rzeczami i długoterminową żywnością. Wrzucił go do samochodu, przyda się, gdyby ich pobyt na plaży się wydłużył. Liczył, że nigdy nie będzie potrzebny, najwyżej ze względu na klęskę żywiołową. Nadzieja, że to tylko fałszywy alarm albo przesada, pojawiła się natychmiast i pierdzieliła lekceważąco w głowie, ale skoro i tak jechali, nie zaszkodziło się dodatkowo zabezpieczyć i zageścić ruchy. W samochodzie były już baniaki z wodą, dodatkowe koce, namiot, karimaty, śpiwory,

pełna lodówka turystyczna, mały czajnik na ogień, patelnia, ruszt, saperka, piła i siekiera.

Cieszył się, że są dzikusami lubiącymi biwakować nawet po sezonie, kiedy nie jest już tak ciepło. Sam uprawiał bushcraft, nawet zimą w minusowych temperaturach.

Dzięki szybkiej reakcji udało im się uciec z miasta jako jednym z pierwszych i dostać tutaj bocznymi drogami. W międzyczasie w radiu potwierdzili, że to nie był fałszywy alarm ani przesada.

Mrok zgęstniał porządnie. Przemek wyobraził sobie ludzi stojących teraz w gigantycznych korkach. Może właśnie porzucali swoje samochody i uciekali piechotą.

Daleko od strony wody dobiegł huk.

– Ale pieprzło.

Z namiotu wygramoliła się Marta z małą. Rozglądały się nerwowo w poszukiwaniu Przemka. Dostrzegły jego sylwetkę nad brzegiem.

– Co to było, tatusiu?

W pierwszym momencie chciał skłamać, żeby chronić świadomość dziecka, ale poczuł, że powinien być uczciwy.

– Wojna, Pchełko. – Starał się brzmieć spokojnie.

Stanęli w trójkę na granicy lasu i plaży, kiedy walnęło znowu. Odruchowo zbliżyli się do siebie. Przemek objął dziewczyny i poczuł niewielką ulgę.

– Spokojnie, moje ukochane – powiedział.

– Jak dobrze, że jesteśmy daleko od tego – powiedziała Marta.

– Co to wojna, tatusiu?

Zaczęło się bombardowanie. Jeden huk za drugim. Co jakiś czas niebo daleko za horyzontem rozświetlała luna światła. To było dużo głośniejsze i o wiele bardziej złowrogie od fajerwerków. Przemek objął dziewczyny mocniej.

– Tak, tu nas nie dosięgnie – powiedział. – W co oni tam walą? – zapytał siebie.

– To jest wojna, tatusiu?

– Tak, ludzie walczą z innymi ludźmi.

– Dlaczego?

– Dobrze pytanie. Bo są źli. My nie będziemy walczyć z nikim, będziemy pomagać.

– Ludzie powinni sobie pomagać – powiedziała dziewczynka. – Gdyby każdy pomagał, to nie byłoby wojny, tylko miło.

– Dokładnie tak, kochanie. – Marta przytuliła mocniej córeczkę.

– Byłoby wspaniale gdyby każdy myślał tak jak ty, Pchełko – powiedział Przemek.

Usłyszeli głośny huk, aż cała trójka przykucnęła. Właśnie przeleciało nad nimi kilka odrzutowców, niemal niewidocznych w ciemności, nie miały żadnych świateł.

– Idźcie do namiotu, dziewczynki. Mam nadzieję, że nas nie widzieli.
Cieszył się, że w pierwszej kolejności zamaskował samochód.
– Chyba że widzieli – powiedział do siebie. Pomyślał o termowizji, wtedy ciepło paleniska i ich ciała były widoczne jak na dłoni. – Jesteśmy nieistotni. – Miał nadzieję.
Marta z Olą schowały się w namiocie, a on usiadł na kłodzie i czuwał. Zapadła cisza.
Wsluchiwał się w nią i czekał, jakby coś miało z niej wyskoczyć.
Nad ranem położył się spać.

Pierwsza jak zwykle wstała Ola i obudziła rodziców.
– Mamusiu, siku.
– Tutaj niech zrobi – powiedział Przemek, nie otwierając oczu.
Specjalnie na tę okoliczność z dużej butli po wodzie zrobił nocnik. Sikanie rano na chłodzie nie było zdrowe.
– Wyjdę z nią. – Marta zaczęła się podnosić.
– Nie wychodźcie na to zimno.
Żona lubiła stawiać na swoim. I brzydziło ją sikanie w namiocie, szczególnie, kiedy on to robił.
– Kochanie, jest zimno, niech zrobi tutaj. Można wystawić do przedsionka i potem to wyleję – powtórzył.
Jakby nie słyszała. Nie znosił tego. Wyszły z namiotu.
– Jeszcze na plażę polazły. Zero wyobraźni.
Nasłuchiwał. Był bardzo niewyspany.
– Chyba jestem przewrażli...
W szmerze fal i wiatru pojawił się odgłos silnika łodzi rybackiej. Dobrze poznany przez lata przyjazdów tutaj.
Przemek czekał, aż ucichnie, ale stał się głośniejszy.
– Zbliża się. Szlag!
Normalnie słysząc silnik łodzi, nie ruszyłby się z miejsca. Ale to nie był normalny czas.
Wygramolił się pośpiesznie z betów i wyszedł na zewnątrz. Uderzył go wilgotny chłód jesieni.
Na niebie kłębiły się ciemne chmury. Będzie padać, jak nic.
– Gdzie saperka? – Rozglądał się. Nadawała się do obrony lepiej od siekiery.
Narzędzia leżały tam, gdzie je zostawił. Podniósł małą łopatę, której używał jeszcze jego ojciec za kawalera. Nie sądził, że będzie potrzebna, ale wolał być przygotowany.
– Pewnie przepłyną – gadał do siebie. – Szkoda, że w ogóle nas zobaczą. – Zależało mu, żeby nikt nie wiedział, że tu są.

Łódź rybacka płynęła w ich stronę. Pierwszy raz widział, żeby tak blisko brzegu. W środku stało trzech mężczyzn.

– Mamusia, patrz! – Ola zaczęła do nich machać.

Jeden odmachał radośnie, jak mały chłopiec, a nie dorosły chłop. Przemek zmarszczył czoło.

Silnik zamilkł, a dno łodzi zaszurało o mieliznę.

– Niedobrze – szepnął.

Wyskoczyło z niej dwóch rybaków i z rozbryzgiem wylądowali w wodzie po kolana. Ubrani w wodery i ciemnozielone kurtki.

– Dobry, hyhyhy – powiedział ten, który machał do Oli.

– Dzień dobry – powiedział Przemek.

– Co tu robicie, hy?

– Bywamy tu często.

Marta wzięła małą za rękę i odeszły dalej, jakby musiała zapewnić córce towarzystwo w zabawie, a gości, którzy niczym spacerowicze latem przystanęli na pogawędkę, zostawiła mężowi.

– Wojna jest, hyhyhy. – Rybak cieszył się i patrzył za matką i córką.

W ich wyrazach twarzy mocno odbijał się brak inteligencji.

– Nie tutaj. Wciąż jesteśmy zwykłymi ludźmi.

Mężczyzna miał podpuchniętą twarz, zabarwioną na różowo od picia i wiatru.

Przemek pomyślał o wsi rybackiej nieopodal, że wszyscy pewnie tam chleją.

Uśmiech nie poprawiał wizerunku rybaka. Malutkie, rozbiegane oczka, jakby szukały czegoś do zagarnięcia. Na plaży nie było niczego, ale dojrzał za drzewami namiot, zamaskowany gałęziami i liśćmi. Możliwe, że przepływając by go nie zauważyli, gdyby nie dziewczyny.

Drugi, młodszy rybak, po dwudziestce, był nad wyraz wyrośnięty, miał cały czas uchylone usta, a twarz zmarszczoną, jakby coś go bolało albo gacie uwierały w kroku. Wpatrywał się w Przemka.

Trzeci stał przy łodzi, miał surowe oblicze, czarną jak smoła brodę i zrośnięte brwi. Patrzył na dziewczyny, które najwyraźniej zainteresowały się jakimś robaczkiem na powalonym konarze.

– Wojna jest, rozglądamy się. Niebezpiecznie, co? Hyhyhy – rżał starszy rybak.

– Nie tutaj – powtórzył Przemek.

– Nie ma policji, nic nie ma, ludzie kradną, hyhyhy.

– Ale chyba nie wy? Wyglądacie na porządných ludzi.

Wcale nie wyglądali.

– Patrzymy, jesteśmy u siebie.

– Ja też jestem u siebie. Przyjeżdżam tu dłużej niż żyje ten młody. – Przemek kiwnął na młodego, który uniósł lekko jedną stronę ust, co miało przypominać uśmiech.

Patrzył im w oczy bez cienia wahania. Starszy rybak przestał się uśmiechać.

– Chodź, młody.

Poszli do łodzi, a Przemek odetchnął z ulgą. Cofnął się od brzegu kilka kroków. Spojrzał w niebo, właśnie zagrzmiało.

– Będzie łało porządnie – szepnął.

Czekał. Uspokoi się dopiero, kiedy odpłyną, ale taki spokój jak wcześniej, już nie wróci. Już wiedzieli, że ktoś tu był, już stanowili zagrożenie. Każdy człowiek stał się potencjalnym wrogiem. A on bardzo liczył, że nie będzie tu żywej duszy, bo jeśli sytuacja się zaogni, puszcza moralne hamulce, strach przejmie kontrolę, popychając zwykłych ludzi do okrucieństwa.

Do głowy wpadł mu pomysł, żeby przenieść obóz. Ale od razu go odrzucił, bo jeśli zaczęliby ich szukać, to popłynęliby dalej, wyszli na brzeg i rozejrzeli po lesie.

Najlepiej tu zostać i liczyć, że o nich zapomną.

– Nie zapomną. Przeniesiemy się do lasu, w jakiś gęsty zagajnik.

Żałował, że nie był dla nich miłszy. Mógł się z nimi zapoznać, zjednać i w razie czego może liczyć na pomoc. Wyobraził sobie rozmowę przy kawie.

– Jeszcze nie pada. Mamy cztery kubki. Czemu nie odpływają? – mamrotał pod nosem.

Rybaczy stali przy łodzi, rozmawiali i śmiali się. Na tle stalowej wody i ciemnych chmur wyglądali jak na olejnym marynistycznym obrazie.

Choćbyś zginął, będziesz żył – usłyszał Przemek w głowie.

– Co to?

Ale nie miał czasu się nad tym zastanowić. Brodacz, który jako jedyny wszedł do łodzi i dał Przemkowi nadzieję, że zaraz odpłyną machając im na pożegnanie, podał właśnie staremu pałkę, a dla młodego wyciągnął długi drąg leżący wzdłuż burty. Sam wyskoczył z łodzi z długim nożem w ręce i brodząc w wodzie, szedł w kierunku Marty i małej Oli.

– O nie. – Przemek otworzył szeroko oczy i zacisnął palce na saperce. – Zostawcie nas w spokoju! – krzyknął.

Marta wyprostowała się i spojrzała w ich kierunku. Przywołała do siebie córkę. Zaczęły się cofać i uciekać. Przemek ucieszył się na tę reakcję.

– Dlaczego to robicie?! – krzyknął do rybaków.

– Hyhyhy.

Poszedł w lewo na spotkanie brodaczowi, którego surowa twarz nie zdradzała żadnych emocji, jakby był w robocie i zabierał się za kolejną czynność. Stary i młody

ruszyli za Przemkiem, wyczekując momentu, żeby zaatakować.

Brodacz się zatrzymał. Jego nóż, mimo że długi, mógł nie wygrać starcia z saperką.

– Hyhyhy, po co się stawiasz, ruscy i tak wszystkich zabiją. – Stary miał świetny humor.

– Co z was za ludzie? Nie wstyd wam?

– Hyhyhy, jest wojna, nie, hyhyhy...

– I w końcu możesz pokazać, jakim jesteś paskudnym człowiekiem?

Wiedział, że gadanie nic nie da, zbyt tępi i nieczuli byli.

Serce waliło mu jak głupie. W nogach czuł mrowienie, a jaja skurczyły się ze strachu. Bał się potwornie o dziewczyny, o swoją Pchełkę. Musiał je obronić za wszelką cenę. Ale jednocześnie wściekłość go brała na tych ludzi.

– Dlaczego najgorszy ze wszystkiego musi być zawsze człowiek? – zapytał siebie.

Miał nadzieję, że nie będzie musiał bronić rodziny, a już na pewno nie tak szybko.

– Hyhyhyhy, zabawimy się tylko.

– Nie musicie być złymi ludźmi! Krzywdzenie i wyrządzanie zła to nie zabawa! To paskudne! Jeszcze możecie przestać.

Jestem przy tobie. – Znowu usłyszał ten głos w głowie.

Jak dobrze byłoby do nich dotrzeć, żeby się cofnęli i po prostu odpłynęli. Może w poczuciu wstydu nawet.

Ale nic z tego. Młody już próbował uderzyć drągiem z jednej, a stary z drugiej strony. Cieszyli się przy tym jak naćpani małolaci.

Szczeniak nie mógł zwinnie operować czymś tak długim, więc Przemek dał się uderzyć w ramię. Zabolało, ale dzięki temu złapał za drąg i pociągnął. Zanim młody go uniósł, Przemek kantem saperki uderzył mocno starego rybaka w ramię trzymające broń. Kość przedramienia pękła z głuchym trzaskiem.

– O! – Stary wrzasnął zdziwiony i upuścił pałkę, po czym zaczął się cofać w kierunku łodzi trzymając za złamaną rękę.

– Nie będzie łatwo. Odpłyńcie! – krzyknął Przemek.

Młody zdążył unieść drąg, ale zamiast uderzyć, czego spodziewał się Przemek, wbił koniec w piach i skoczył w bok. Podciął nogi Przemka i ten przewrócił się do tyłu.

– Szlag!

Zachmurzone niebo zagrzmiało, a młody skoczył na ofiarę, przygniótł i złapał za ramię trzymające saperkę. Ważył chyba z tonę.

Brodacz był już przy nich. Obezwładniony Przemek szarpał się, próbował wydostać spod ciężkiego napastnika, który sapał równo, jak przy wyciąganiu sieci z wody. Nie pozwalał się zrzucić.

Umrzesz, ale będziesz żył – usłyszał w głowie Przemek.

Mąż i ojciec uciekających o wiele za wolno matki z córką otworzył szeroko oczy na widok uniesionego noża cofającego się, żeby nabrać rozpędu. Zacisnął powieki, kiedy nóż ruszył gwałtownie, jakby niepatrzenie miało ulżyć w tym, co za ułamek sekundy miał poczuć.

Jestem przy tobie, moje dziecko.

Ostrze wbiło się w jego bok. Czuł wyraźnie, niemal widział za zamkniętymi oczami, jak zimna stal wchodzi bez trudu między żebra, tnąc jelita i kończąc wędrówkę w żołądku.

– Hyhyhy! – ucieszył się z łodzi stary rybak.

Przemek myślał tylko o jednym, a z oczu natychmiast zaczęły płynąć łzy, obficie, jak nigdy wcześniej.

– Moje dziewczynki, moje dziewczynki...

Poczuł wilgoć z boku po wyciągnięciu noża, ale wyraźniejsze było sycące uczucie rozlewającej się po jamie brzusznej krwi, kiedy młody z niego wstał.

Niebo gniewało się coraz bardziej. Znowu zagrzmiało.

– Gdzie? – wyszeptał ranny Przemek, szukając wzrokiem napastników.

Obrócił się.

– O nie, proszę – szeptał.

Brodacz i młody gonili Martę i Olę. Nie śpieszyli się specjalnie. I tak nie miały gdzie uciec. Do wsi były cztery kilometry.

Wszystko skończy się dobrze – zabrzmiał obcy głos.

Przemek pomyślał tylko, że słyszy to przez stres i strach.

Mała Ola biegła najszybciej, jak mogła, ale to nie wystarczało, na dodatek potykała się w tych wsuwanych, piankowych krokodylkach, a bez nich nie dało się biec, bo plaża była kamienista, pełna powalonych przez sztormy drzew. Marta próbowała biec z nią na rękach, mimo że Pchełka była ciężka, ale leżące konary zdawały się być sprzymierzeńcami oprawców.

– Dawaj, chłopie! – wystękał Przemek.

Zaczął wstawać. Ból był dziwny, ale nie dojmujący. Za to szare plamki przed oczami mnożyły się z każdą sekundą i rosły. Czuł, że zaraz zemdleje.

Marzył, żeby wytrzymać jakimś cudem i uratować żonę i córeczkę. Schylił się po saperkę, poczuł ciężkość w brzuchu.

Będą żyły. I ty będziesz żył.

– Chy-ba nie – wysapał i pożałował, że tracił na to siły.

– Chłopaki, ten dycha jeszcze! – zawołał stary z łodzi.

Tamci odwrócili się, ocenili, w jakim tempie Przemek ich gonił, po czym wybuchnęli śmiechem.

– Mała dla mnie! Pamiętajcie! – Stary rybak usiadł sobie w łodzi, trzymał złamane ramię i czekał na nagrodę. Mógł w końcu pofolgować zboczeniom, dziękując w duchu za wojnę i chaos. Ręka poczeka, we wsi jest lekarz, kolega.

Przemek walczył o każdy krok, miał wrażenie, że idąc, rozpadał się w środku coraz bardziej. Upadł po jakichś pięćdziesięciu metrach i już nie wstał. Próbował, ale w końcu pękło mu serce i umarł, po tym jak usłyszał z oddali krzyk żony i pisk córeczki.

Na sam koniec, w gasnącej świadomości znowu zabrzmiał w głowie dziwny głos.

Jesteście cenni, będziecie żyć.

Rybacy odebrali życie Marcie i Oli jak rybom wyciągniętym z wody.

Wcześniej dziewczyny przeżyły okropne rzeczy.

Tuż obok, bardzo blisko, poza materia, niczym za zasłoną, łzę uronił Ten, który zapisywał ich imiona w księdze życia. Każdą myśl, wspomnienie i szczegóły osobowości potrzebne do odtworzenia.

Już tak niewiele czasu zostało do interwencji w ludzkie sprawy, do uporządkowania przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, do oddania sprawiedliwości niewinnym. Bolał w sercu, że ta trójka musiała zasmakować cierpienia i śmierci.

Jeszcze nie nadszedł czas ingerencji, ale uśmiech starego rybaka po skrzywdzeniu i zabiciu małej dziewczynki sprawił, że zapisujący klepnął w zasłonę, a pochmurną aurę rozświetliła błyskawica, która trafiła łódź wiozącą trzech nasyconych złem rybaków i zrabowane rzeczy.

Młody zginął na miejscu, a brodacz i stary wylądowali w wodzie. Brzeg był blisko, a oni dobrze pływali, nawet ze złamaną ręką stary dałby sobie radę, ale po kolejnym klepnięciu w zasłonę piorun uderzył w wodę tuż obok nich. Zginęli porażeni prądem.

Nikt nie zapisał ich imion w księdze życia.